

# DRAMAT DWÓCH STARYCH LUDZI I KOTA, KTÓRY POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO .

MAGDALENA DRAB

## **Osoby:**

*OMA*

*OPA*

*NADZIEJA*

*LESIU*

*KLARA*

*BOBECZEK*

*MIRIA*

*RADEK*

*PANI ELIKOWA*

*ELIK*

*PANI EWA*

*PREZENTER*

*ZEMBKOWA*

*KOT*

1.

*Miria siedzi w fotelu. Obok niej telewizor. Oma, Opa i fikus w telewizorze.*

OMA: Kaziu, czy ty widzisz, jak oni na nas patrzą?

OPA: Na ciebie patrzą, bo pięknie wyglądasz.

OMA: Fikusa przestawię. *(nasuwa fikusa tak, że zasłania Omę i Opę)* Kaziu, może my powinniśmy żaluzje założyć.

OPA: Dobrze, Basiu.

OMA: Ale...

OPA: Tak, Basiu.

OMA: Masz rację. Pionowe. Pionowe ładniejsze. Jak w biurze. I fikus. Fikus pasuje.

OPA: Basiu... Pięknie wyglądasz.

OMA: To fikusa przestawię. *(odsuwa fikusa tak, że znów są widoczni)*

2.

MIRIA: Ja, Miria, w tym domu rosłam. Różni tu byli ludzie, ale od zawsze ci sami. Żadnych przeprowadzek nie przypominam sobie. Także nazwiska wszystkie poznałam wcześniej, niż pamiętam i tak już jest. Wiedziałam zawsze, kto na którym piętrze mieszka, kto jest czyim dzieckiem, ojcem, matką itd. Dobrze się tu żyło. Zawsze razem. Trudniej było, gdy zepsuła się winda. No i oczywiście jeszcze trudniej, gdy zepsuły się schody. Ja mieszkałam na piątym. *(Lesiu zaczyna wrzeszczeć)* Na trzecie jeszcze jako tako się dojechało, albo po ścianie wspięło, ale z piątym to była udręka. Nie chcę nawet myśleć, jak żyli ci z dziesiątego, dziewiątego, ósmego i siódmego. Zresztą, odkąd zepsuły się schody, nie spotkałam ich więcej. Zdaje się, że zaprzestali wychodzić. A tych z szóstego nienawidzę. Dobrze im tak.

OMA: Lesiu, słowo daję, zaraz stracę cierpliwość.

OPA: Daj mu spokój, przecież to tylko dziecko. Dzieci krzyczą.

MIRIA: Dzieci u nas było... Raz... *(liczy)* ze mną sześcioro. Przeprowadziła się Klara, do mieszkania poniżej, bo została żoną Bobeczka. Ale to było od początku wiadomo, choć ja kochałam go mocniej. Wyprowadziło się dwoje, ale jedno z nich i tak wróciło - Lesiu.

OMA: Dzieci krzyczą? Co to jest za zasada? Dzieci krzyczą, łosie ryczą, trele morele! Lesiu, opamiętaj się! Człowiek ma wolę, Kazimierz! Lesiu, zaraz cię zamorduję! Dzieci krzyczą! Taka zasada! To chyba twoje dzieci krzyczą. Czyli ten krzyk to on ma po tobie! Mogłeś mnie uprzedzić, bym ci nie dała się pakować z twoimi wrzeszczącymi dziećmi do mojego brzucha. Bo moje dzieci

nie krzyczą! Słyszysz, Lesiu, co mama powiedziała? Moje dzieci nie krzyczą!

OPA: Jak on ma cię słyszeć, kiedy wrzeszczy?

OMA: Ale ty już chyba powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia. Wszyscyśmy się ucieszyli, jesteśmy wdzięczni i starczy. Zrób coś z tym dzieckiem! Lesiu, nie dostaniesz obiadu!

*Placz Lesia wzmaga się*

OPA: No i po co dziecko straszysz?

OMA: Jak masz lepsze metody wychowawcze, to proszę, zaprezentuj.

OPA: Lesiu, masz tu dziesięć złotych i nie krzycz więcej.

*Lesiu cichnie*

MIRIA: Teraz nie ma tu dzieci. Jesteśmy dorośli - ja, Radek, Bobeczek, Klara i Lesiu. Lesia nikt nigdy nie lubił, ale kogoś przecież trzeba było. Bawiliśmy się z nim tylko po zmroku, jak już nikt nie patrzył z okien.

OMA: No, no... Pięknie uczysz naszego syna przekupstwa. Jak przystało na człowieka bez zasad. Bez zasad i bez woli! Zastanów się tylko, czego ty Lesia uczysz swoją postawą. To ja się nie dziwię, że on się tak zachowuje, jak się zachowuje. No, popatrz, no. Jak ty siedzisz? No, powiedz sam, jak ty siedzisz, Kazimierz? Jak on się napatrzy, to ja się nie dziwię. Ty siedzisz, jak... no, kpina to jest to twoje siedzenie. Tak się nie zachowuje człowiek z kulturą. (*Lesiu znów zaczyna wrzeszczeć*) Lesiu, zamknij się! Siądź po ludzku, Kazimierz!

OPA: Ale o co ci chodzi? Źle siedzę?

OMA: No, właśnie ci tłumaczę, że źle siedzisz!

OPA: To jak ja mam sięść, proszę, ustawiaj.

OMA: Nie, ty teraz jesteś złośliwy.

OPA: Nie, no, pokaż mi, jak mam siedzieć, żeby nasz syn nie wyrósł na mordercę.

OMA: Co za mordercę? Ja tego nie powiedziałam, Kazimierz. A w ogóle co to jest za ton? Jak ty się do mnie zwracasz? Jak ty mówisz do żony?

OPA: Nie, no ja cię proszę po prostu, żebyś mi pokazała, jak mam siedzieć. No, pokaż mi jak mam te nogi ustawić, głowę, nie wiem, dupę mi uformuj.

OMA: Nie bądź ordynarny.

OPA: Ja jestem ordynarny?

OMA: Ordynarny! Ordynarny przy dziecku!

OPA: Wybacz w takim razie, że jestem takim ordynarnym człowiekiem przy dziecku, które, wybacz, mam z tobą...

OMA: Nie wmawiaj mi.

OPA: Czego ja ci mam nie wmawiać? Dziecka?

OMA: Nie powiedziałam, że dziecka. Nie wmawiaj mi, że coś powiedziałam, jak nie powiedziałam, bo powiedziałam tylko: nie wmawiaj mi. Po prostu. Żebyś mi nie nie wmawiał, dobrze? A w ogóle to nie zmieniaj tematu. Ja się pytam, co to jest za ton? Co ja ci złego zrobiłam? Że się staram? Że gotuję tu, sprzątam, rezygnuję z siebie, żebyś ty mógł się zapychać kartoflami, to tak mi się odpłacasz? Ja mogłam być kimś, Kazimierz! Ja miałam drogę otwartą do wielu stanowisk...

OPA: Ja cię przecież tylko poprosiłem, żebyś mi pokazała jak się siedzi odpowiednio. Żebyś mnie nauczyła siedzieć.

OMA: Nic ci już nie pokażę. Jesteś bez uczuć.

OPA: Ja jestem bez uczuć? Przecież ze mnie się uczucie wylewa, Basiu, wylewa!

*Lesiu wybiega*

MIRIA: Dzieci zawsze trzymały się u nas razem, jak to w bloku. Nawet Lesia trzymaliśmy przy sobie, chociaż go nie lubiliśmy.

BOBECZEK: Kla-ra! Kla-ra!

MIRIA: Jestem.

BOBECZEK: Nie ciebie tylko Klarę wołam.

MIRIA: Mówiła, że nie chce jej się dzisiaj wychodzić. Ale ja przyszedłam...

KLARA: Jestem.

RADEK: Cześć. Patrzcie, kto za mną przylazł.

MIRIA: Czemu on przyszedł?

RADEK: A co mnie to obchodzi.

BOBECZEK: Po co Lesia wzięłaś?

RADEK: Mówiłem ci, że przylazł za mną.

BOBECZEK: Te, Lesiu, nie przyznajemy się do ciebie, pamiętaj. Sam do nas podszedłeś.

KLARA: Nie bądź dla niego taki.

BOBECZEK: A ty się kolegujesz z nim czy ze mną? Bo jeżeli ze mną, to z nim musisz zerwać.

Chodź, Lesiu, możesz być z nami, bo ja jestem tolerancyjny.

KLARA: No i co będziemy robić?

BOBECZEK: Nie wiem.

RADEK: Mi to obojętne.

KLARA: Mogę pokazać wam majtki.

BOBECZEK: Klara!

KLARA: No co? Dostałam nowe. Z takim... To nie...

MIRIA: Możemy zagrać w kółko graniaste.

OMA: Kółko graniaste, czterokanciaste, kółko nam się połamało, cztery grosze kosztowało, a my wszyscy bęc!

RADEK: Mi to obojętne.

BOBECZEK: Nie, to głupie. To jest dla małych dzieci.

LESIU: Możemy pobawić się w Pana Boga.

RADEK: Ja w to nie wierzę.

KLARA: Cicho! A jak w to się gra?

LESIU: Ktoś jest Panem Bogiem i może innych albo ochlapać deszczem albo pokazać: ty nie żyjesz. Można go też przekupywać surowym mięsem i mówić, co by się chciało, albo poskarżyć mu na kogoś. I przyszłość też on zna.

MIRIA: Ja się nie zgadzam, to jest... tak nie można robić.

KLARA: A mnie się ta zabawa podoba. Ja bym chciała dużo prosić i dostawać różne rzeczy. Kto będzie Panem Bogiem?

RADEK: Ja mogę być. Mnie to obojętne.

KLARA: Lepiej niech Lesiu będzie. To jego zabawa i on najlepiej zna zasady.

BOBECZEK: O, nie! Nie będę się zwierzać żadnemu Lesiowi, ani go o nic prosić.

KLARA: A ja będę. Ja się bawię. Panie Boże Lesiu, powiedz mi, czy będę miała męża.

MIRIA: Ej, to nie jest tak. Pan Bóg nie przepowiada przyszłości.

KLARA: Ale zna przyszłość, więc chyba mogę go zapytać? No, Panie Boże, Lesiu... (*Lesiu zaczyna się śmiać*) No, powiedz coś... Z czego się śmiejesz? Ej, z czego się śmiejesz, głupku?

BOBECZEK: Przestań się śmiać z niej, słyszysz?

RADEK: Ej, czemu się śmiejesz?

BOBECZEK: Przestań się śmiać!

*Dzieci zaczynają bić Lesia, Lesiu cały czas się śmieje*

PANI ELIKOWA: Klara, chodź na obiad!

ZEMBKOWA: Obiad!

OMA: Lesiu, wejdź na obiad!

ZEMBKOWA: Obiad!

PANI ELIKOWA: Klara, chodź na obiad!

ZEMBKOWA: Obiad!

RADEK: To do kogo idę dzisiaj na obiad?

LESIU: Możesz przyjść do mnie.

OMA: Lesiu od urodzenia tylko kopał i gryzł swoimi bezzębnymi ustami, a z wiekiem te odruchy jeszcze rosły wraz z Lesiem. Właściwie nic, co się potem działo z Lesiem, już mnie za bardzo nie

zdziwiło. Wszystko było jakby oczywistą konsekwencją tego, jaki Lesiu się urodził, ale to jaki się urodził, po prostu palnęło mnie w łeb. Ja i mąż jesteśmy ludźmi z wyższych sfer. Profesorami. Prawie. Zawsze wielkie znaczenie miały dla nas powszechnie uznawane wartości moralne i obyczajowe oraz kultura osobista. Więc jak, do kurwy nędzy, mógł się z tego począć taki Lesiu? Lesiu już się urodził z głosem przepitym i od pierwszego dnia życia darł się. Jako dziecko pluł na przechodniów z naszego balkonu na trzecim piętrze, wkładał lalki głową do klozetu, a w trakcie proszonych obiadów powoli i z premedytacją wypluwał nagromadzone w ustach pożywienie, które jak lawa wyciekało z jego nawpółzębnych ust prosto na białą koszulę i miękki, kaszmirowy sweterek. Co noc pytałam siebie - skąd ten Lesiu się wziął? Jak on się włamał do mojego brzucha, ten Lesiu? Setki razy oglądałam film „Dziecko Rosemary” i patrzyłam na Lesia, który odgryzał głowy zabawkom albo kroił nożem wylapane na dworze ślimaki. Z roku na rok, coraz pewniejsze było, że Lesiu nie jest naszym dzieckiem, choć przejawiał pewne podobieństwa fizyczne. Zastanawiałam się, czy może mąż nie ukrył przede mną jakiegoś istotnego szczegółu z życia rodzinnego, bo skąd niby Lesiu wziął swoją lesiowatość? Po kim? Nadzieja, że z tego wyrośnie umierała z każdym dniem, a Lesiu coraz bardziej wrastał w Lesia. Kiedy w pierwszej klasie, był już piąty rok i odmówił czytania, pisania, liczenia oraz przewrotów w przód, poszłam się pomodlić. Ja od zawsze byłam niewierząca, ale wtedy, 25 czerwca 1977 roku, poszłam do kościoła. A miałam tam naprawdę daleko. Było pusto. Zupełnie nikogo. Stałam w nawie głównej, naprzeciw ołtarza, który przedstawiał scenę chrztu Jezusa i padłam krzyżem. Nieświadomie padłam, bo zemdlałam, ale moje plaśnięcie zaniepokoiło kościelnego. Podbiegł, podniósł mnie, ocucił i gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam ogorzałą i przyjemną twarz. Zapytał... „Wszystko w porządku?” A ja odpowiedziałam: „tak, chyba jestem przy nadziei”.

OPA: Nadzieja...

OMA: I tak nadzieja wróciła do mnie. Znów zapłodniła mój brzuch i moje przyszłe dni. Nadzieja pęczniała i gdy wyszła na świat 9 lutego 1978 roku, miała gładką twarz i spokojne usposobienie. Nadzieja była zawsze bystra i taktowna. Wszyscy utraceni znajomi zaczęli znów zapraszać nas na prywatki. Wszyscy z rozczeniem oklaskiwali Nadzieję, głaskali Nadzieję i podziwiali Nadzieję.

NADZIEJA: W wieku 9 miesięcy potrafiła już budować pełne zdania. W wieku trzech lat pisała i czytała. Gdy miała osiem, odkryła nową planetoidę nazwaną później jej imieniem, a w wieku piętnastu została mistrzynią świata juniorów w biegu na 100 m. Doskonale grała na pianinie, skrzypcach i klawesynie. Malowała, lepila w glinie i publikowała wiersze. Była laureatką Międzyszkolnego Turnieju Matematycznego i Honorowym Obywatelem Miasta W. Biegła mówiła w pięciu językach i dodatkowo uczyła się jeszcze trzech pomiędzy spotkaniem młodzieżówki pewnej partii rządzącej a zajęciami z gimnastyki artystycznej. Pomiedzy tymi wszystkimi

aktywnościami zawsze znajdowała czas dla rodziny. Była grzeczna i kulturalna. Nie sprowadzała chłopców i nie włóczyła się po nocach. Najchętniej czytała Stendhala i Prousta.

OMA: Nadzieja rozsadzała mi serce. Aż rozsadziła je zupełnie, gdy pięć lat temu wyjechała, chyba na zachód, i nigdy więcej się do nas nie odezwała. Lesiu w tamtym czasie też ucichł, unieszkodliwił się. Zresztą nie pamiętam Lesia już potem, od narodzin jego siostry. Zarósł gdzieś, zalesił się do reszty, jego pijacki głos zachrypnął tak bardzo, że Lesiu stracił go całkowicie i zamilkł. Potem nawet znalazł jakąś żonę, zapłodnił ją i to dzieci krzyczały za Lesia. Wizytowali nas raz w tygodniu, w niedzielę, przez godzinę oraz w święta. Był chyba robotnikiem w jakiejś hucie. Nie pamiętam dokładnie, ale potem wyrzucili go, bo nie miał wykształcenia, a pewnego dnia w naszym kraju wykształcenie zaczęło być potrzebne do tłuczenia młotkiem w kawałek żelaza. Wtedy żona wyrzuciła Lesia z domu i wrócił do nas, ale zawsze udawałam, że tego nie zauważyłam. Nawet teraz, gdy cztery razy dziennie karmi mnie i podciera, udaję, że tego nie zauważyłam.

OPA: Ja... Z żoną żyłem zgodnie. Nie chcę umierać.

NADZIEJA: Wyjechałam. Na południowy-wschód czy północny-zachód, nie pamiętam. I teraz jestem tu, pośrodku. Mam kanapę z czerwono-pomarańczowym kocem, drzewko szczęścia i kibel z półką. Jadam głęboko mrożone zapiekanki, które odgrzewam na słońcu. Jeśli chodzi o treść mojego życia... Dużo powietrza. Powietrza w kostce. Od ściany do ściany, w sumie 21 m<sup>2</sup> razy 2, czyli 42 m<sup>3</sup> powietrza, które filtruję całymi dniami. Wdech, wydech, wdech, wydech...

OMA: Gdy Nadzieja wyjechała i rozsadziła mi serce, obraziłam się na Kazia. Myślę, że ją krył przy tej ucieczce. Ale nie wypominam mu tej krzywdy. Jest teraz moim jedynym dzieckiem. Tylko jego kocham. I za Lesia też go nie winię. Myślę, że Lesiu to musiał być jakiś wirus. Jakaś wada wrodzona-genetyczna.

NADZIEJA: Nie mam nic do powiedzenia.

MIRIA: Wszystko normalnie, trawa beton, asfalt rozgrzany od słońca i kroki, co się ciągle echem rozbijają o ściany naszego bloku. Nadzieja... siostra Lesia... wyjechała i tyle. Tylko jakieś mgliste wspomnienie zostało. I nawet Lesiu w końcu wrócił do nas. Nie ma już żony i dzieci, chociaż czasem przychodzą. Z powrotem po tych przejściach z rodziną i dorosłością został dzieckiem z naszego bloku. I jak dla mnie, to dobrze się stało.

RADEK: Lesiu to po prostu jest anarchista. Jak ja. Anarchista i nonkonformista. Nie wiem, skąd się u niego ta żona wzięła, ale myślę, że to musiało być jakieś załamanie woli. Kryzys światopoglądu.

KLARA: Czemu się nic nie odzywałeś, jak cię wtedy przy zabawie w Boga pytałam o męża?

LESIU: Bo Bóg nie mówi. Bóg natycha.

KLARA: Na... co?

LESIU: Wystosowuje pisma.

KLARA: Ty mógłbyś być moim mężem, gdybyś chciał.

*Lesiu powoli zaczyna się śmiać*

MIRIA: Później Bobeczek oświadczył się Klarze.

OMA: Krasnoludek, krasnoludek, małe rączki miał, jak w te rączki, dobry świecie, zmieścić cały świat.

ELIK: *(podchodzi do Pani Ewy)* Dzień dobry... ja przyszedłem spisać licznik.

MIRIA: Pan Elik, który, jak sama nazwa wskazuje, był mężem pani Elikowej, naszej dozorczyńi, często chodził po mieszkaniach i spisywał liczniki, zawsze zdejmując przy tym buty. A buty miał sznurowane. Z takimi cienkimi sznurowadłami, które mu się ciągle plątały, średnio co piętro. Wtedy zatrzymywał się w którymś z mieszkań i próbował jakoś tym niesfornym pękem zaradzić. Niekiedy całe rodziny angażowały się w rozsypywanie sznurowadeł pana Elika - na ołówek, na agrafkę czy po prostu na siłę. Niektórzy złośliwcy mówili nawet, że to z powodu żony tak mu się te sznurówki co piętro plączą, a Zembkowa odgrażała się, że kupi mu buty na rzepy i na wycieracze zostawi, to znaczy „tfu-po-jej-trupie-nic-mu-nie-kupi-przetrzyma”. Ale ja wiem jedno: sznurówki zawsze plątały mu się w mieszkaniu pani Ewy.

PANI EWA: *(Elik ciągle patrzy na Panią Ewę)* Jakież cyfry powyżej czterech?

ELIK: Słucham?

PANI EWA: Pytam, czy napotyka pan jakieś trudności w spisywaniu? Czy coś pana przerosło w tym zadaniu?

ELIK: Nie. *(spogląda na licznik)* To znaczy, widzi pani, tak... Zdaje się, że ktoś majstrował przy tym liczniku...

PANI EWA: Nikt oprócz pana z nim nie obcuje, przysięgam.

ELIK: A jednak...

PANI EWA: A co się panu nie zgadza, jeśli mogę spytać. Może zaraz się okaże, że, tak jak przypuszczam, to pan coś pomieszał, przeczytał od prawej do lewej, pomylił szóstkę z dziewiątką czy jeszcze coś innego, ale w pana stylu.

ELIK: Jest mniej niż było.

PANI EWA: Czego?

ELIK: Prądu.

PANI EWA: Nic dziwnego. Zużyłam go. W odróżnieniu od pana nie oświetlam domu łuczywem.

ELIK: Proszę tylko bez prywatnych wycieczek. Ja nie jestem winien, że żona jest, jaka jest. Jak się żeniłem, to była inna i skąd mogłem wiedzieć, że... Tak czy inaczej prądu jest mniej, to znaczy



zużytego prądu jest znacznie mniej niż w zeszłym miesiącu.

PANI EWA: Widać żyłam oszczędniej.

ELIK: Ale chyba nie tak oszczędnie, żeby prąd wyprodukować? Było 12441,2 kWh, a jest 0. Są same zera i w dodatku wszystkie z uśmieszkami.

PANI EWA: Z czym?

ELIK: No, z uśmieszkami, że takie buźki, wie pani, takie oczka, noski...

PANI EWA: Co mi tu pan pierdoli!?

ELIK: No, niech pani sama zobaczy. Uśmiechnięte zera.

PANI EWA: *(podchodzi i patrzy)* Może pan wyzerował ostatnio.

ELIK: Nie wolno zerować.

PANI EWA: To dlaczego pan to zrobił?

ELIK: Nic nie zrobiłem.

PANI EWA: Zrobił pan! Wyzerował pan!

ELIK: Nie zerowałem!

PANI EWA: Zerował pan i dorysowywał uśmieszki. Pójdę do sądu. Pan mnie oskarża o przestępstwo.

ELIK: Ja panią!?

PANI EWA: Pan mnie.

ELIK: Kiedy?

PANI EWA: Zawsze.

ELIK: Co?

PANI EWA: Pozywam pana.

ELIK: Ale po co?

PANI EWA: Proszę wyjść! Wyjść! *(Elik wychodzi wystraszony z butami w rękach)*

PANI ELIKOWA: *(liczy pieniądze)* Widzisz, ile zostało?

ELIK: Ile?

PANI ELIKOWA: Tyle. Kiedyś kupimy dom w jakimś normalnym miejscu i się wyniesiemy.

BOBECZEK: *(w trójkę w jednym łóżku z Klarą i chrapiącą Zembkową)* Kiedyś się wyniesiemy.

KLARA: *(podchodzi do leżącego Lesia)* Wyniesmy się.

NADZIEJA: *(obok leżącego Radka)* Wyniesmy się.

OMA: *(obok Opy)* Wyniesmy się.

ELIK: *(uderza młotkiem w licznik)* Zgłasza pani mechaniczne uszkodzenie licznika wraz z prośbą o wymianę na nowy. Pijany sąsiad go pani rozbił.

PANI EWA: Chce pan kawy?

ELIK: Nie pijam kawy. Serce za bardzo przyspiesza.

PANI EWA: Moje już chyba od dawna nie bije. Dobrej nocy.

ELIK: Dobranoc.

RADEK: Gdybyśmy razem stąd uciekli, to byśmy się skazali na siebie, ty wiesz? Nikogo byś nie znała i ja bym nie znał nikogo, więc nie byłoby wyboru, tylko wyrok. Już by nie było ciebie i mnie, tylko byśmy byli my. Ty chciałabyś się skazać na mnie? Na takiego mnie? Ja nic dla ciebie nie mam kruszyna, nic... Puste mam ręce. Zupełnie. W dodatku niezdolny jestem do niczego. Nie mówię, że mi źle z tym, bo w zasadzie jest mi to obojętne, ale gdybym cię skazał na siebie, to by mi już obojętne nie było. A to by znaczyło, że mnie też nie ma. Bo ja, to właśnie ta obojętność i nic więcej. Nie można być mną, jeśli ci nie jest obojętne. Gdyby nie było mi obojętne, oszalałbym, będąc skazanym na siebie. Oszalałbym, rozumiesz, kruszyna... (*Nadzieja wychodzi z łóżka Radka, Klara wychodzi z łóżka Lesia*)

ZEMBKOWA: (*z miotłą skierowaną w sufit*) Słyszysz?

BOBECZEK: Co?

ZEMBKOWA: Jak to co? Znowu ta menda chodzi. Słowo daję, zaraza. Ledwo skończy, zaczyna na nowo. Nie wiem, co ona tam robi. Nordic walking, kurwa. Nie dość, że stopy, to jeszcze kije. Zdwojona siła. O, słyszysz? Krok... i zaraz następny. Jeden po drugim. To jest zmasowane znęcanie. Aż mi tynk odchodzi, o!

BOBECZEK: Bo mama uderza szczotką.

ZEMBKOWA: Nie uderzam szczotką, tylko ona chodzi, rozumiesz? Skacze. Meble cały czas przesuwa. Przemeblowanie. Ciągłe. Ile tak można żyć? To jest nie na moje nerwy. Ja kiedyś... Wyjdę z mieszkania, słowo daję, wyjdę z mieszkania! Wyjdę i zaduszę gada! Mówiłam, żeby sobie dywany kupiła, ale nie. Gadzina czeka, aż sama jej kupię i na wycieracze zostawię. Niedoczekanie. Wytrzymam to znęcanie. Łazidupo, uspokoisz się, czy mam ci tę szczotkę wpakować tam, gdzie wzrok nie sięga?

BOBECZEK: Mamo, nie krzycz...

ZEMBKOWA: Ja nie mogę krzyczeć, ale ona może sobie chodzić, tak? Daj mi spokój. Trzeba było brać mieszkanie na ostatnim, a nie słuchać twojego ojca. To ja bym sobie teraz tupiła. Na wszystkich. Bym srała na wszystkich. A nade mną nikogo. Żywej duszy. Tylko sam Bóg w niebie, czyli tak jak być powinno.

*Ryż się sypie. Ślub Bobeczka i Klary.*

PANI ELIKOWA: No i wreszcie. Tak jak być powinno.

MIRIA: Ślub jak się odbywał, Klary i Bobeczka ślub, to nawet wesoło było. To znaczy Zembkowa i tak zła chodziła i kazała wszystkim buty zdejmować przed wejściem do mieszkania, bo wszyscy

w buciorach, wiadomo, naniesie się, a przecież dzień był wyjątkowy i podłoga powinna w takim dniu, w dniu wesela, czysta pozostać. Więc wszyscy w skarpetach. Ależ to była litania skarpet. Skarpeto pasiasta, skarpeto w groszki, skarpeto zawstydzona, skarpeto z dziurą na dużym palcu, skarpeto przetarta, skarpeto z bohaterem z kreskówki, biała skarpeto, skarpeto nie do pary, zapomniana skarpeto, pończoszko, oczko, stopy rajy. Wszystkie one tam były. Ale i ludzie, ich właściciele, się zjawili. Jedli rosół i mięsa i różniej im jakoś było niż na co dzień. Ktoś jakieś kasety puścił, które Zembkowa ciągle ściszała, ale i tak miło się było trochę pobujać do rytmu i zjeść tak wszyscy razem.

*Jedząc kotlety, z pełnymi ustami.*

KLARA: Ja, Klara, biorę sobie ciebie Bobeczku za męża i brać się zezwalam, na dzień i na noc w nowym domu pozostanę i żyć będę, wyjadać za wiele zapasów z lodówki wspólnej obiecuję... że nie. I cieszę się, że tak się polubiliśmy i tak już zostaliśmy, i że tak to w życiu bywa, że może we dwoje nam tak zwyczajnie będzie, po małżeńsku i po rodzinnemu.

BOBECZEK: *(silnie wzruszony, także z pełnymi ustami)* Ja... Kocham cię, Klaro. Bardzo. Tak. Ja od początku, wiedziałem, zaplanowałem i byłem pewien... Klaro. Chcę tu oznajmić, że... Podobasz mi się.

*Wszyscy biją brawo. Zembkowa wznosi toast.*

ZEMBKOWA: Panie Boże, jeśli jesteś tak dobry, jak to mówią... Ale jeśli to prawda, że jesteś taki dobry, to spraw, żebym jak najszybciej umarła. Bo na wyprowadzkę, to ja już naprawdę... sam wiesz... nie te lata. Zresztą co ja ci będę mówić? Większego dziada jak ty, Boże, to nigdzie nie ma. Tobie to się nawet gęby nie chce otworzyć, to czemu ja bym niby miała siłę mieć, żeby podwójne drzwi pancerne roztwierać? Panie Boże, załatwmy to jakoś najniższym kosztem. Polubownie zorganizuj ty mi tę wyprowadzkę, bo ja sama...

PANI ELIKOWA: Myślisz, że ta nasza Klara to ma szczęście?

ELIK: Ja...

PANI ELIKOWA: Pewnie, że ma szczęście. Kto by taką tępotę do domu wpuścił. Tylko ślepy i głupi się nabierze. Tak zawsze myślałam. A tu proszę, bardzo solidny mężczyzna. Jedyna jego wada, to żona.

ELIK: Zupełnie jak ze mną.

PANI ELIKOWA: Darowałbyś sobie. Naprawdę... Żeby w taki dzień...

ELIK: Ale przecież żartowałem, żabeczko.

PANI ELIKOWA: Nie zgrywaj niewiniątka! Dobrze wiesz, że nie rozumiem twoich żartów. Że mnie tylko denerwujesz, jak jesteś w dobrym humorze! Przychodzi baba do lekarza, to jest żart. A nie... Słuchaj, to, co ty mi tu od lat uprawiasz, to jest molestacja i przemoc.

MIRIA: *(pochlipując)* Wesoly to był dzień... I ludzie się zjawili i muzyka z kaset... Bardzo wesoly był to dzień... Kotlety... Rosół był. Z kury. Potem się trochę pogmatwało, jak znaleźli ten list od Nadziei, że do widzenia, że nie wracam i pa. Ale wszystko to jakby przez mgłę tego wesela, tej radości wielkiej, tej miłości, co to od początku wszyscy wiedzieli, że tak to się przecież musi skończyć...

OMA: Nadzieja...

RADEK: Mnie to obojętne.

*Radek przechyla butelkę i wychodzi. Bobeczek prezentuje Klarze wersalkę. Zembkowa stoi na zewnątrz i potupuje z zimna.*

BOBECZEK: Na razie jest jak jest. Trzeba się trochę pognieździć. Ale z czasem sobie uzbieramy, dostaniemy mieszkanie czy co i się wyniesiemy. Mama zresztą śpi jak zabita i jest również głucha. Nic nie słyszy.

ZEMBKOWA: Będziecie tak głądzić czy zajmiecie się wreszcie tym, co trzeba?

BOBECZEK: Środki nasenne bierze. Bardzo mocne środki...

*Klara kładzie się na wersalce, Bobeczek obok niej.*

ZEMBKOWA: *(kładzie się obok nich)* Zimno, cholera. Nie zwracajcie na mnie uwagi.

OMA: Kółko graniaste, czterokanciaste. Kółko nam się połamało, cztery grosze kosztowało, a my wszyscy bęc...

RADEK: *(pijany, sika gdzie popadnie)* Tak, tak, kruszyno, sytuacja społeczno-moralna, żeby nie powiedzieć religijna, jest przesądzona. Przesądzona na korzyść wroga, kruszyno, nie warto... Trzeba uciekać, kruszynko... Ja na przykład uciekam mentalnie, bo ja nie jestem typem obieżyświata, kruszyno. Ja jestem typ mentalny. Także nie myśl, że mnie wyciągniesz, że cię będę gonił. Olewam. Bądź, co bądź, nie namówisz mnie... Ja się nigdzie nie wybieram, kruszynko. Nigdzie.

*Zaczyna dyrygować światłami w oknach, po czym kłania się, bije sobie brawo; Pani Ewa klaszcze w echu za synem, aż uderza go w twarz.*